

Cicho wszędzie, głucho wszędzie...

Czarne niebo zostało przecięte przez błysk, a następnie rozległo się głucho uderzenie. W niewielkiej kaplicy dało się słyszeć głośne stuknięcie obcasów o kamień, poprzedzone dźwiękiem nagłego wciągania powietrza. Kobieta spojrzała na witraż, starając się cokolwiek dojrzeć przez kolorowe szkło.

— Boże, chroń nas... — wyszeptała, robiąc znak krzyża, po czym zaczęła rzucać słowami tak szybko i niewyraźnie, że nawet sam Bóg prawdopodobnie ich nie zrozumiał. Po chwili wróciła do przygotowywania wieczerzy.

Na plastikowym stole przykrytym ceratą postawiła słodką, pachnącą kutię, do której składniki zbierała kilka miesięcy wstecz. Zapach świeżego chleba wypełnił pomieszczenie, co kazało kobiecie zajrzeć do kamiennej chrzcielnicy, jednej z niewielu obiektów pozostałych po kościele, którego częścią swego czasu była kapliczka. Naciągnęła rękawy czerwonego, rozpinanego swetra na owłosione dłonie tak, aby być w stanie wyjąć jedzenie i nie poparzyć się. Na nieszczęście kobiety materiał nie stanowił dostatecznie dobrego zabezpieczenia przed gorącem, przez co rzuciła chleb na ceratę i zaczęła dmuchać na bolące palce.

— O nie! — Spanikowana, przerzuciła bochenek na najbliższy talerz, po czym odwinęła jedną z chust z szyi i obwiązała nią lewą rękę — drugą zaś zaczęła wycierać w długą, kolorową spódnicę, chcąc w ten sposób uśmierzyć ból. W myślach modliła się tylko, by On niczego nie zauważył, szczególnie, że dla Niego to była najważniejsza noc w roku. Chociaż ona, jako wzorowa chrześcijanka, nie pochwałała tych pogańskich zwyczajów, to jej zdanie się przecież nie liczyło. Niespecjalnie miała też czas rozwodzić się na temat swojej moralności, skoro lada moment mógł wrócić, zauważyć, że nie skupiła się na swoim zadaniu, pomyśleć, że coś knuła...

Potrząsnęła głową, chcąc odgonić od siebie złe myśli. Za wszelką cenę musiała się uspokoić, aby nie dawać Mu powodów do złości. Wzięła słoik z miodem i oblała nim bochenek, wiedząc, że duchy uwielbiają ten lepki przysmak. Obok chleba z brzdękiem wylądowała metalowa miska, do której wcześniej wrzuciła kilka pospolitych ziół, zaalała wrzątkiem i dodała kilka kropli nalewki z porzeczek. Ta mikstura miała Mu służyć do wywoływania duchów zamiast alkoholu, którego zawsze brakowało przez Jego nawyki. Przelknęła ślinę na wspomnienie o tym, jak w uprzednim roku o mało co jej nie zabił, gdy wylała na siebie eliksir i wywołany duch zniknął bez śladu. Ach, stare czasy.

U stóp figurki Matki Boskiej położyła wianek z lawendy i pokrzyw wraz z kłębkami włóczki. Spojrzała na swoją nieobwiązaną dłoń, oglądając bąble powstałe od oparzeń toksynami rośliny oraz otarć związanych ze skręcaniem wełny. Chcąc poprawić ułożenie niebędącej (choć kobieta o tym nie pamiętała) na swoim pierwotnym miejscu chusty, przez przypadek boleśnie zahaczyła o niechcianą chrząstkę na szyi. Mimowolnie przejechała językiem po podniebieniu, czując zgrubienia na nim powstałe od konieczności pokrywania

śliną nici. Każda najmniejsza blizna na jej ciele stanowiła jasne świadectwo tego, że niemal wszystko było nie tak, a ona skrzętnie chowała swe łyzy w fałdach spódnicy. Przecież ją oszczędził. Nie powinna się skarżyć.

Prawie wszystko było gotowe. Musiała jedynie zapalić kilka świec, by duchy ludzi nie miały problemu z odnalezieniem ich i poproszeniu o pomoc w przejściu na drugi świat. Ona sama nigdy nie odezwała się do dusz nawiedzających obrzęd, ale nie czuła też takiej potrzeby. Niektóre z nich były naprawdę przerażające.

Nagle usłyszała czyjś stłumiony krzyk i błaganie o litość, a tuż po tym trzask wiekowych drzwi.

W progu kaplicy zobaczyła parę dzikich, modrych, świecących ślepi. Oddech uwiązał jej w gardle, wywołując krótki, palący ból w płucach. Chociaż chciała po prostu wrócić do obowiązków, z jakiegoś sobie jedynie znanego powodu musiała Go zobaczyć. W świetle błyskawicy z ciemności wyłonił się On. Jego posiwiała, długa do bioder i od dawien dawna niepielęgnowana broda poza włosami zawierała jeszcze pajęczyny i resztki zaschniętej krwi. Nosił czarną, wieczne brudną, przeciwdeszczową kurtkę, miliony szalików i dziurawe spodnie. Ciężkie buty pokryte błotem sprawiały, że żaden Jego krok nie mógł pozostać niezauważony. Jego obie ręce były zajęte ciągnięciem za włosy innego człowieka; był to młodzieniaszek, nie wyglądał na więcej niż osiemnaście lat. Kobiecie zrobiło się na chwilę przykro. On przeciągnął swą zdobycz przez rząd kościelnych ław, po czym rzucił chłopakiem o jedną z nich.

— Proszę, n...

— Siedź cicho, gówniarzu — mruknął, poprawiając chwyt na jego głowie i uderzając nią o ostrą krawędź.

Ach, tak, byłby zapomniana. Przecież nie mogło być dnia bez świeżego trupa leżącego na podłodze. Nawet nie mrugnęła, gdy kawałki mózgu chłopaka wypłynęły z jego czaszki i spłynęły po ławie niczym złoczone roślinne ornamenty po ołtarzu. On bezceremonialnie rzucił ciało nieznanego na ziemię, i jak gdyby nic się nie stało podszedł do kobiety.

— Wszystko gotowe?

— Tak, wołchwie.

Pochyliła głowę, a mężczyzna zatopił palce w jej długich, czarnych włosach, które zawdzięczała właśnie jemu. To były trzy lata, czyż nie? Tyle czasu minęło, odkąd przytargał do kaplicy to dziwadło. Ona nie była zwyczajną kobietą. Niewiasty zazwyczaj mają poniżej dwóch metrów wzrostu, nie chowają niekobieco grubych szyi pod warstwą kolorowych chust oraz nie mają barków tak szerokich, że ledwo mieszczą się w drzwiach. Tak, zdecydowanie stworzono ją do bycia wystawianą w jakimś cyrku. Do tamtego dnia strzykało mu w krzyżu na myśl o tym, jak ciągnął przez zarośnięte, polne drogi to coś za sobą przez kilka kilometrów.

Lecz jednak gdy miał przystąpić do roztrzaskiwania jej głowy, to coś go tknęło. Lenistwo? Rozbawienie? Bo na pewno nie współczucie. Postanowił ją zatrzymać dla siebie, aby robiła te wszystkie przyziemne rzeczy, które stanowiły most pomiędzy życiem wiedźmy i tym ludzkim. W ogóle była bardzo wygodna, nie wzbudzała pożądania, nie jęczyła gdy bolało i niewiele mówiła. Aby to się nie zmieniło, Afron dał jej tylko długie włosy, a resztę zostawił tak, jak Bozia przykazała.

— Już niedługo północ, Katarzyno — mruknął, odsuwając rękę. W miejscu, gdzie trzymał ją wcześniej, pojawiła się plama krwi. Kobieta nie wzdrygnęła się, zamiast tego podeszła do stołu i wytarła drugą chustą pot spływający jej po czole. Wyjęła spod stołu dzban z wodą, po czym zgasiła ogień pod chrzcielnicą. Afron podał jej świecę. Skinął głową, a Katarzyna stanęła w rogu kaplicy.

Czas wskazać drogę nieszczęśnikom. Zazwyczaj powstrzymywał się od korzystania z umiejętności, lecz Dziady to jedyna taka noc w roku, kiedy łamał ten swój osobliwy zakaz. Mężczyzna stanął naprzeciwko figury Maryi, patrząc butnie w jej ceramiczne, puste oczy, jakby mówiąc jej, że nie była tam potrzebna. Skoro na poświęconym gruncie odprawiano pogańskie rytuały, gdzie było miejsce dla Boga? Skoro Afron był wiedźmą, to kim miały się okazać anioły i diabły? Gdzie tak naprawdę szły duchy, gdy już odpokutowały za swe winy? On wiedział. Ale czy to na pewno wystarczyło za odpowiedź?

Rozłożył ręce i nabrał powietrza w płuca. Jego oblicze rozbłysło tak jasnym światłem, jakiego świat nigdy wcześniej nie widział. Wszelkim duszom obecnym w kaplicy ukazał się śliczny chłopiec, modrooki, z usteczkami koloru letnich truskawek i włosach niczym świeżo ścięty łan pszeniczny. Szmaty i szaliki zostały zastąpione prostą, nieskazitelnie białą szatą. Jak imienniczka, Afron stał się ucieleśnieniem wszelkiego piękna.

Katarzyna chciała odwrócić wzrok, przestać patrzeć, lecz fizyczna doskonałość wiedźmy całkowicie przysłoniła jego paskudną duszę. Jeżeli kiedykolwiek żywiła do niego jakąś nienawiść bądź inne negatywne uczucia, spłonęły one w blasku błękitnego spojrzenia. Jej myśli, pragnienia czy wiara w Boga przestały mieć znaczenie, gdyż wszystkim, czego chciała, była kolejna sekunda spędzona na wpatrywaniu się w piękną twarz istoty.

Chłopiec klasnął w dłonie. Świeca, którą trzymała Katarzyna, zapłonęła, a wraz z nią w kaplicy rozbłysło wiele innych, których wcześniej tam nie było. Ciche westchnienie wydostało się z ust kobiety, tworząc chmurkę pary wodnej. Dlaczego? Przecież widziała, jak korzystał z wiedźmich umiejętności już wiele razy. Świadomość odarcia obyczajów ze świętości nie powinna boleć aż tak bardzo, prawda?

— Katarzyno, podaj mi włóczkę.

Kobieta uczyniła to, trzymając nią w obowiązanej ręce i świecę w drugiej, modląc się, by wosk kapiący z niej nie uszkodził efektu jej ciężkiej pracy. Jej prośby zostały wysłuchane,

żadna niechciana kropla nie spadła do czasu, gdy miękki materiał dotknął nieskazitelnej dłoni chłopca ani później. Katarzyna nie mogła się powstrzymać, by nie otrzeć potu z czoła.

Afron położył kłębek przed swymi stopami i wypowiedział zaklęcie:

— Pokażą się niech dziadowie.

Włóczka zajęła się ogniem, a zimny prąd przebiegł przez plecy Katarzyny. Szary dym zaczął wypełniać kapliczkę, a w oddali było słychać szczenięcy, radosny śmiech. Uff, to tylko dzieci, pomyślała kobieta. Uniosła świecę do góry, by lepiej widzieć materializujące się zjawy. Coraz wyraźniej objawiały się trzy postaci. Dwie dziewczynki uczesane były w warkoczyki i tańczyły razem z chłopcem w kółku, skacząc wesoło. Razem śpiewali jedną z dzieciennych piosenek, mówiącą o rzekach, borach i lasach. Wyglądali tak niewinnie, że Katarzynie łzy zaczęły zbierać się w kącikach oczu. Boże, co spotkało te dzieci?

— Dzień dobry! — powiedziały chórem, jak uczniowie podstawówki gdy nauczyciel wchodzi do klasy.

— Witajcie, dziadowie — zaczął Afron, kłaniając się w pas. — Posilcie się, jeśli taka wasza wola. Po cóż przybywacie?

Dziewczynka w jaśniejszych włosach roześmiała się, szepcząc coś na ucho swojej ciemnookiej koleżance. Chłopiec odkaslnął i spojrzał Katarzynie błagalnie prosto w oczy.

— Jestem Edward, a to moje siostry, Maria i Elżbieta. — Wywołane osoby pomachały do wiedźmy i kobiety. — Mieliśmy też starszego brata, Janka. — Na dźwięk tego imienia Katarzyna mimowolnie wzdrygnęła się.

We włosach jasnookiej dziewczynki zmaterializowała się stokrotka, którą ona z nich wyjęła i zaczęła szeptać: „Kocha, nie kocha...”, rwąc płatki i rozrzucając je wokół siebie. Jej brat zasłonił oczy, po czym z jego ust zaczęło wydobywać się ciche „Raz, dwa, trzy, Baba Jaga patrzy!”. Jedynie ciemnooka dziewczynka pozostała taka, jaką była. Przerazenie i niepewność Katarzyny rosły, a krew szumiała jej w uszach.

— Jestem Maria, a to moje rodzeństwo, Edward i Elżbieta. — Kobieta spojrzała kątem oka na Afrona, chcąc ujrzeć na jego twarzy choć krztynę emocji, lecz jak zwykle obeszła się smakiem. — Nasz tato umarł, jak byliśmy młodzi, a mama nigdy sobie z tym nie poradziła.

Maria wyjęła ze swych włosów grubą wstążkę, po czym związała sobie nią oczy. Zaczęła szeptać: „Kapusta i kwas!”. Edward zaś odsłaniał swoje, krzycząc raz po raz: „Schowani czy nie, szukam!”. Na stokrotce Elżbiety nie było już żadnych płatków, więc dziewczynka pozwoliła łodyżce spaść na ziemię z cichym „Nie kocha...”.

— Jestem Elżbieta, a to moje rodzeństwo, Maria i Edward. — Uśmiechnęła się ciepło do Katarzyny. — Nasza matka nigdy nie powinna była nią zostać. Nie chcę was zadręczać

tym, co robiła, ale jedną rzecz musicie wiedzieć. Odkąd się urodziliśmy, nigdy, ani na sekundę, nie opuściliśmy naszego domu. Janek był tym bardzo sfrustrowany, więc stwierdził, że i tak skoro kiedyś umrzemy, to czemu nie mielibyśmy zrobić tego szybciej?

Przerwała na moment, ponieważ gdyby mówiła dalej, niechybnie zagłuszyłby ją grzmot za oknem.

— Zepsuł nasz piec i zatruliśmy się. Odeszliśmy spokojnie, we śnie. Miłe to, szczególnie patrząc, ile przeszliśmy za życia. Nasza matka robiła wiele rzeczy, a my nie protestowaliśmy. Nie odgrażaliśmy się. Nie krzyczeliśmy, jak bolało. Nie nienawidziliśmy jej. Niczym perfekcyjni święci przyjmowaliśmy swoją karę za to, że w ogóle się urodziliśmy. A więc dlaczego nie jesteśmy w niebie?

Trójka dzieci złapała się za ręce. W miejsce ich oczu i ust wstąpiła ciemność, z której zaczął ulatniać się czarny dym.

— Nigdy nie zadaliśmy cierpienia. A to przecież tak ludzkie.

Katarzyna zamruwała kilka razy, nie dowierzając temu, co właśnie usłyszała. Czy to, że nikogo nie skrzywdziły, nie czyniło z nich jednymi z najbardziej szlachetnych istot?

— „Bo słuchajcie, i zważcie u siebie

I hymn zaśpiewajcie zespołem

Kto mógł być choć raz człowiekiem

Gdy przez życie swe był aniołem?”— wyśpiewały dzieci, podchodząc bliżej do kobiety i Afrona.

Elżbieta wyciągnęła rękę przed siebie, jakby błagając o jałmużnę. Kiedyś Katarzyna dotknęła ducha palcem wskazującym prawej dłoni, i od tej pory nie miała w nim czucia. Chłód, który wtedy przeszedł przez jej ciało, pozostawił je w takim stanie, że kobieta już nigdy nie mogła się porządnie ogrzać. Nauczona tamtym doświadczeniem, lekko odsunęła się od dziewczynki.

— Pozwól sobie ofiarować nasze cierpienie. Skrzywdzimy cię, a dzięki temu dostaniemy się na tamten świat.

Chociaż te słowa nie miały konkretnego adresata, Katarzyna w głębi serca czuła, że były one skierowane właśnie do niej. Jednakże nie wiedziała, czy czasem to nie wiedźma chciał zostać wybawcą dzieci, więc milczała. Afron jednak patrzył tylko w puste oczodoły dziewczynki. Z jego błękitnych oczu biła pycha, a postawa ciała wskazywała jednoznacznie na znudzenie. Katarzyna zrozumiała, że czekał tylko, aż duchy sobie pójdą i będą w nieskończoność błąkać się po świecie, że tak naprawdę historia dzieci nie poruszyła ani jedną struną w jego duszy. W sumie, czego mogła się spodziewać. Nieco zde gustowana, odwinęła chustę z lewej dłoni i wyciągnęła rękę do dzieci.

— Proszę — powiedziała.

Ogromnie pragnęła zamknąć oczy i przygotować się na ból, lecz z jakiegoś powodu jej powieki nie chciały opaść. Elżbieta uśmiechnęła się i ujęła jej dłonie, po czym ucałowała je. Sylwetki dzieci rozplynęły się w powietrzu, a przez zachmurzone niebo na kilka sekund wyjrzało słońce. W kaplicy po gościach pozostał jedynie swąd palonej węgla.

Katarzyna niczego nie widziała. Jedynym, co zmysły przekazywały jej umysłowi, był cichy szum krwi przepływającej przez ciało. Pierwszym, co poczuła, były gorące łyzy, które szczypały jej twarz niczym sól posypana na rany. Spróbowała wziąć oddech, lecz utrudniały jej to połamane żebra. Raz po raz mrugała, próbując uzyskać jakąkolwiek ostrość widzenia. Z niepokojem uświadomiła sobie, że nie czuje kończyn, chociaż one ewidentnie były na swoich miejscach. Skóra opinała jej ciało tak mocno, że czuła, jakby miała pęknąć, zerwana przez kościsty stelaż. Sięgnęła do swych włosów, po czym zabrała dłoń, a w niej pozostała znaczna część kruczoczarnych kosmyków. Palce drugiej ręki zanurzyła w dziurze na szyi, z przerażeniem orientując się, że nie znajduje się tam tylko jedna chrząstka, a dwie. Długie, cięte rany na plecach sprawiły, że upadła na podłogę, drżąc w konwulsjach.

Matka chciała mieć śliczne dzieci.

Zaś Janek pokrzyżował jej plany, uwalniając ich wszystkich od cierpienia.

Katarzyna czuła, że to już koniec. Toż to ironiczne. Od trzech lat drżała każdego dnia i bała się wziąć choćby oddech, aby tylko nie skończyć jak zwierzę ze skręconym karkiem i głową roztrzaskaną o posadzkę w kaplicy. Od początku przyjmowała za pewnik, że to On miał zakończyć jej żywot, a nie jakieś duchy. Zaśmiała się cicho, coraz wyraźniej widząc światło... Czy to oznaczało, że Bóg jednak istniał? Że był w stanie przyjść po swoją służebnicę nawet do tak brudnego, plugawego miejsca, gdzie nieczyste siły negowały jego istnienie? Ach, z każdą sekundą kochała go coraz bardziej.

— Bądź uzdrowiona, Katarzyno.

Racja, przecież On nie mógł sobie pozwolić na to, by ktoś inny zabił jego ofiarę. Siły wyższe, które przeklinała chwilę wcześniej, sprawiły, że wszystko wróciło do normy. Znowu mogła widzieć, czuła swoje kończyny, a na jej lewej dłoni z powrotem pojawiła się chusta. Jedynym, co zmieniło się w jej wyglądzie, były trzy krwawe pręgi na policzku, których żadna moc nie była w stanie zetrzeć.

— Katarzyno, podaj mi lawendę.

Afron nawet nie spojrzał w stronę kobiety. Wpatrywał się w pustą przestrzeń przed sobą, wciąż stojąc z rozłożonymi rękoma. Kiedy tak robił, Katarzynie z jakiegoś powodu przywodził na myśl papieża, którego portrety matka namiętnie rozwieszała po ścianach. Usłuchała rozkazu, wkładając wianek do otwartej dłoni chłopca, po czym usunęła się pod ścianę kapliczki.

— Pokażą się niech demony.

Drzwi do kaplicy otworzyły się na oścież z hukiem. Wszystkie świece zapalone wcześniej przez Afrona zostały zdmuchnięte przez wiatr, który wpadł do środka. Chłopiec zaczął wykrzykiwać jakieś słowa, lecz Katarzyna nie była w stanie go usłyszeć przez szum wichury. Plastikowy stół został uniesiony w powietrze, a kobieta rzuciła się na niego i przygniotła go do ziemi, nie chcąc, by wszystko co przygotowała poszło na marne. W oddali mogli usłyszeć tętent kopyt, głośne rzenie i przeraźliwe jęki. Niewiasta zamknęła oczy, czując, jak pył i brud świata zawieszonych między rzeczywistościami dusz unosił się w kaplicy. Wreszcie kakofonia została przerwana przez zakłęcie:

— Nastanie niech cisza.

Dopiero wtedy Katarzyna uniosła powieki. Przed nią i chłopcem stał wychudzony mężczyzna o widocznie hiszpańskich korzeniach w wieku około trzydziestu lat. Był związany niczym baleron różnymi popręgami, spod których obficie płynęła krew. W powietrzu unosił się nieprzyjemny zapach zgnilizny, przez który oczy Katarzyny zaczęły łzawić. Pomimo tego była w stanie zobaczyć jeszcze ogromnego konia, do którego przymocowane były końce więzów krępujących człowieka i który podszedł do stołu, po czym zaczął pałaszować obiatę.

— Witaj, demonie — rzekł Afron, po czym splunął na podłogę. — Kim jesteś i po cóż się nam pokazałeś?

— Bo wzywaliście. — wydusił z siebie mężczyzna, po czym kaszel zajął go na kilka dobrych chwil. — Nazywałem się Enrique.

Katarzyna przyjrzała się mu dokładnie i zauważyła, iż brakowało mu dwóch palców prawej ręki, wskazującego i środkowego. Kawalek kości wystawał z jednej z dziur, zapewne potęgując ból.

— Ten koń ciągnie mnie przez cały świat i będzie to robił do końca czasów. Ledwo stoję, każda moja kość jest starta niemal na proch. — Mężczyzna trząsnął się niemiłosiernie, wciąż zerkając na zwierzę. W każdej sekundzie mogło przecież zakończyć posiłek i pobiec dalej, a wtedy nie byłoby dla niego żadnego ratunku.

— Co zrobiłeś za życia? — Katarzyna po raz pierwszy zabrała głos w dyskusji, za co została skarcona spojrzeniem przez Afrona.

— Zapytaj lepiej, czego za życia nie zrobiłem! — wykrzyknął Enrique, po czym upadł na podłogę w konwulsjach. — Moje dzieci! Ta cholerna jędza zabrała je ode mnie, a ja zamiast grać w jej gierki i walczyć o nie, to skoczyłem!

Katarzyna nie wiedziała do końca, o co mu chodziło, lecz po chwili głębszego zastanowienia dodała dwa do dwóch. Szaleństwo jednej osoby było jak klątwa rzucona na całą rodzinę, bez wątpienia.

— Ach tak, altruizm i rezygnowanie z siebie na rzecz innych jest tak ludzkie, o Boże! — zaśmiał się Enrique, uderzając głową o ziemię. — Mogłem je ocalić, mogłem przeżywać ten ból z nimi, ale wolałem umrzeć jak najgorszy tchórz!

— „ Tak, muszę dręczyć się wiek wiekiem

I cierpieć Kaina znamienia

Gdyż aby zwać się człowiekiem

Dokonać się ma poświęcenia”.

— Czy można cię ocalić? — znowu odezwała się bez pozwolenia. Poczula na ramieniu silny uchwyt, lecz nie ulękła się swego oprawcy. Współczucie zalewało jej serce, i wiedziała, że nie mogła zostawić tej rodziny w potrzebie.

Enrique podniósł się z ziemi i przybliżył swoją twarz niebezpiecznie blisko jej. Popręgi zostały poluzowane i uderzyły z trzaskiem o posadzkę. Niemal pod nos podetknął kobiecie kikuty, które niegdyś były jego paliczkami.

— Gdy się wieszalem, lina odcięła mi je. Oddaj mi swoje, a będę mógł przejść do dalszego świata. Poświęć się, a ja będę zbawiony.

— Katarzyno. — Afron był bardziej niż zdenerwowany. Demony nie zasługiwały na przebaczenie, a już szczególnie nie osoby zostawiające swoje dzieci na pastwę potworów w ludzkich skórkach.

Kobieta wzdrygnęła się na myśl o posiadaniu pustej przestrzeni w miejscu palców, lecz ten wybór był oczywisty. Ona musiała. Nie wiedziała, dlaczego litowała się nad wyrodnym ojcem ani czy Afron ponownie przywróci ją do zdrowia, lecz nie miało to dla niej najmniejszego znaczenia. Bez głębszej refleksji podała Enrique dwa palce prawej ręki i rzekła:

— Proszę.

Demon uśmiechnął się, po czym rozplynał się w powietrzu, pozostawiając po sobie swąd świeżej krwi. Katarzyna ku swej trwodze spostrzegła, iż popręgi zostały ciasno obwiązane wokół jej palczków, odcinając jej dopływ krwi. Wokół dało się słyszeć uderzenie biczem, i piekielny koń popędził przed siebie, aby biec tak do końca świata. Horror rozegrał się na twarzy kobiety, która widziała, jak jej dwa palce zostały wyrwane z jej dłoni, pozostawiając niewielką część kości oraz urwane kawałki cienkich mięśni i wyprute żyły. Mimowolnie krzyknęła, czując jak jej rozszarpane nerwy dawały o sobie znać.

Matka była okrutna. Liczne próby farbowania włosów na blond tanimi detergentami. Wkraplanie kwasu do oczu w nadziei na cudowną zmianę koloru tęczówek na niebieski. Tarcie skóry do krwi, będąc święcie przekonaną, iż dzięki temu odrośnie ona biała. To tylko jedno z wielu, a wszystko to działo się tylko po to, aby wymazać jej grzech. Grzech wyniszczenia. Grzech zatrucia pięknej, od wieków starannie selekcjonowanej puli genowej parszywymi cechami zwykłego robotnika z zagranicy. Ach, gdyby ona nie była tak głupia. Gdyby tamten przeklęty hiszpan nie zawrócił jej w głowie. Gdyby tylko on nie bał się jej



jeszcze bardziej, niż ona lękała się tych piekielnych kreatur, które jedna po drugiej opuszczały jej łono.

W serce Katarzyny wkradła się desperacja, więc obrzuciła Afrona błagalnym wzrokiem, płacząc bezgłośnie. Chciała się modlić, ale zdrowy rozsądek podpowiadał jej, że wiedźma szybciej spełniłby jej pragnienie niż Bóg. Czy na tym polegało bycie człowiekiem? Wypieranie się swej wiary w imię chwilowej korzyści pod wpływem cierpienia? A może to ona po prostu była złą chrześcijanką, że zwracała się do istoty nie ludzkiej zamiast do Stwórcy? Niemniej jednak uklękła na podłodze, próbując uciskać ranę owiniętą ręką, i piszcziała cicho, próbując wzbudzić w wiedźmie choć krztynę człowieczeństwa.

— Nie licz na to. — Jego kpiący uśmiezek w sekundę zabił w Katarzynie resztki nadziei. — Jak sobie pościeliłaś, tak się wyśpisz. Ostrzegałem.

Mimo zniewagi kobieta w odpowiedzi zdjęła drugą chustę z szyi, i z pomocą zębów obwiązała nią dłoń. Syknęła cicho, czując, jak materiał wchodził w kontakt z jej podskórnymi tkankami, wywołując pieczenie, lecz przynajmniej zatamowała krwawienie. Afron wzruszył ramionami, po czym podszedł do Katarzyny i zaczął gładzić jej kruczoczarne, poszarpane skutkiem wrażeń tamtej nocy włosy. Bez ostrzeżenia złapał za jeden z kosmyków i wyrwał go z łatwością. Kobieta skrzywiła się nieco, lecz była przyzwyczajona do tego, by nie protestować. Zimne poty jednak oblały jej plecy, gdyż domyślała się, co miało nastąpić chwilę później.

Afron rzucił włosy na ziemię, po czym uniósł ręce i uśmiechnął się w stronę figury Maryi. Wszystkie świece zapłonęły ponownie.

„Jestem tobą.”

— Pokażą się niech mary pośrednie.

Powieki Katarzyny zamknęły się bez jej udziału i za nic nie chciały się otworzyć, jakby były sklejone. Próbowwała krzyczeć, lecz jej usta również postanowiły nie pozwolić kobiecie na wydanie jakiegokolwiek dźwięku. Czy to się działo przez Afrona? Boga? A może samą Katarzynę? Nie wiedziała, ale mimowolnie spróbowała zasłonić uszy rękoma. Jej umysł zaczynał jakąś myśl, lecz gubił się w rozumowaniach, przez co kobieta nie była w stanie poprawnie określić tego, co się wokół niej działo.

Poczuła za to bardzo wyraźnie, jak Afron uderzył ją otwartą dłonią w tył głowy. Tak, przecież musiała się pozbierać. On nie lubił oglądać słabości, a tamtej nocy ona po prostu przechodziła samą siebie. Odśloniła uszy i otworzyła usta, biorąc głęboki oddech, ale nawet on nie był w stanie jej zmusić do uniesienia powiek. Niemal natychmiast pożałowała tego, że poddała się jego woli, bo obok jej ucha uniósł się cichy, kobiecy szept:

— Witaj, Janku.

Och, jak ona mogła zapomnieć, gdy ktoś jeszcze o tym pamiętał.

Odskoczyła od źródła dźwięku jak oparzona. Zbyt dobrze znała ten głos. Zbyt dobrze znała to imię. W duchu modliła się, aby obecność tej osoby okazała się jedynie wymysłem jej wyczerpanej podświadomości, lecz wiedziała, że było to daremne. Boga tam nie było, a ona tak. W końcu uniosła powieki i spojrzała prosto w oczy matce.

— Dawno się nie widzieliśmy, synku.

Silna migrena oplotła swymi cierniami umysł Katarzyny, lekko go otępiając. Znów nie była w stanie do końca zrozumieć, co się wokół niej działo. Widziała ją. Widziała potwora, którego już raz posłała do piachu. Jedynym, czego pragnęła, było uwolnienie siebie i rodzeństwa od kościstej, uszytej z przewidzeń, paranoi i okrucieństwa postaci rodzicielki. Pani Anna Penderecka. W innej rzeczywistości określałaby ją mamą, lecz nie w tym wszechświecie.

— W istocie... — zająknęła się. Tak, nienawidziła jej, ale równocześnie bała się jej bardziej niż więdźmy.

— Ile to już minęło? Dziesięć lat? Więcej? — Matka uśmiechnęła się, nawijając sobie na palec jeden z kosmyków włosów Katarzyny.

Wyglądała lepiej niż za życia. Czy nie spotkała jej żadna kara? Czy za te wszystkie lata pełne cierpienia i strachu, które zapewniła swoim najbliższym, naprawdę nie dosięgła jej sprawiedliwość? Kim był Bóg, w którego tak gorliwie wierzyła? Kobieta miała ochotę splunąć na podłogę świątyni. Po raz pierwszy w życiu bardzo pragnęła, by Bóg nie istniał. To było jakby ktoś zerwał kwiat, który całe życie pielęgnowała. Jakby ktoś postawił tamę na rzece, z której czerpała wodę, ażeby dzień po dniu konała z pragnienia. Jakby ktoś zrobił dziurę w jej ciele i upuszczał krew, kropla po kropli, aż w końcu nie wytrzymał i przebił ją na wylot.

— Czy dostałaś to, na co zasłużyłaś? — zapytała, odsuwając się i wyrwijąc matce swe włosy z rąk. W odpowiedzi otrzymała płytki, wysoki śmiech.

— Na co zasłużyłam? Nie cierpię, jeżeli o to pytasz. Wręcz przeciwnie, czuję się jak nowonarodzona!

Nigdy wcześniej tak bardzo nie bała się śmierci. Skoro jej matce nic się nie stało po niej, a reszta jej rodziny cierpiała katusze, to jakie okropności przygotowano dla Katarzyny? Taki Stworzyciel... To nie ten z książki. A Bóg z książki był przecież surowy, lecz sprawiedliwy. Grzesznicy wszelakiej maści byli słusznie karani, a ci dobrzy i niewinni trafiali do raju. Przynajmniej tak było w książce.

Och, to przecież takie oczywiste. Do tego wniosku prowadził ją cały ten wieczór. Przecież Boga nie było. Świat, w którym jej rodzeństwo oraz jej ojciec przeżywali męczarnie, a matka miała się świetnie, nie zasługiwał na niego, dlatego On nie ma prawa w nim istnieć. To nie mogła być najlepsza wersja rzeczywistości, już nawet ona sama mogła wymyślić lepszą. Ale jeżeli to wszystko się działo, to znaczy, że ktoś Tam był. Ale to nie ten z książki. A ona miała powyżej uszu takiego boga.

— Po co przysłaś? — wycodziła Katarzyna. Poszukała wzrokiem Afrona, lecz nigdzie nie mogła go znaleźć. Prawdopodobnie siedział pod stołem, zasnął na którejś z ław lub opuścił kaplicę, znużony całą sytuacją.

— Widzisz, bo mam taką sprawę...

Gdy Anna uśmiechała się, wokół jej oczu nie pojawiła się nawet najdrobniejsza zmarszczka. Wyglądała jak porcelanowa lalka; miło i elegancko, lecz jednocześnie kiczowato. Katarzyna przejrzała jej gierki dawno temu. Gdyby wtedy nie próbowała jej zabić, być może sama byłaby już dziadem, wędrującym ku blasku świecy, błagającym żyjących o zmiłowanie, cierpiącym za absurdalną winę. Na szczęście sprawy potoczyły się w sposób, który doprowadził je obie na tamto miejsce. Chciała jedynie przeżyć resztę swego marnego życia jako zakładniczka seryjnego mordercy, a potem spędzić wieczność w niepamięci o istnieniu matki. Ale aby to osiągnąć, musiała wpierw wysłuchać tego potwora.

— Skoro już chcesz być dziewczynką, to przydaj się na coś i urodź mnie ponownie.

Katarzyna przetarła oczy, próbując ogarnąć umysłem poziom absurdu wynikającego z tamtej prośby. Wzięła płytki oddech.

— Co?

— To, co słyszałeś. Ten twój alfons może cię przecież zmienić w kobietę, czyż nie?

— Ale... dlaczego? — Córka aż się zachłysnęła z oburzenia.

— Jesteś mi to winny. Odebrałeś matce życie, to musisz je zwrócić.

Że niby ona zabiła kogoś? Nie, to nie tak. To na pewno tak nie było.

Dziesięć lat wcześniej, kiedy ona sama miała ledwie jedenaście, po prostu zrobiła dziurę w piecyku, który stał w dzieciennym pokoju, po czym upewniła się, że w środku wszystkie okna i drzwi są szczelnie zamknięte. Bardzo chciała, aby jej braciszek i siostrzyczki poszli sobie od mamy do krainy wiecznego szczęścia, tak jak pisano w książce. Według Katarzyny byli dobrzy, więc dlaczego mieliby tam nie trafić? Po przekręceniu klucza w zamku położyła się spać, wierząc, że i jej Bozia pozwoliłaby pójść z rodzeństwem. Nie bała się — bo czego miałyby? Bóg z książki był dobry, a ona nie zrobiła nic złego.

Katarzyna stawała się coraz bardziej senna. Nie miała siły ruszyć żadnym mięśniem, nie mówiąc już o uniesieniu powiek, taka była zmęczona. Gdyby jednak mogła, to uśmiechnęłaby się. Pomimo czucia wyraźnych pociągnięć w stronę śmierci, która powoli oplatała jej płuca, słyszenia zegara, który wystukiwał ostatnie sekundy jej krótkiego życia, nie mogła się doczekać cudowności czekających na nią za niebiańskim mostem.

Jej ciało żegnało się ze światem, gdy drzwi nagle otworzyły się z trzaskiem. Do środka wpadła matka. Kolana jej się trzęsły, a perfekcyjnie ułożona fryzura, w której zwykła spać, rozleciała się na wszystkie strony. Kobieta złapała wpół żywą Katarzynę za gardło i zaczęła przyciskać ją głęboko do materaca.

— Tego chciałeś, mały diable? — zapytała, lecz dziewczynka jej nie słyszała. Spostrzeżenie tego faktu zajęło Annie niewiele czasu, co jedynie bardziej ją rozwścieczyło. Puściła Katarzynę, po czym z powrotem zamknęła drzwi na klucz. Dziewczynka nie była do końca świadoma zadanego jej bólu, ilość tlenu w pomieszczeniu nie pozwalała na to. Jej matka zaś otworzyła okno, po czym chwyciła córkę za włosy i uniosła w górę. Nie miała z tym większego problemu, skóra wisiała na szkielecie dziecka jak ubranie na wieszaku. Nie minęło kilka sekund, a mała Katarzyna wylądowała na wybrukowanej drodze przed domem. Po raz pierwszy poczuła, jak to jest na zewnątrz, lecz nie było to tak miłe jak sobie wyobrażała. Matka wychyliła się z okna, śmiejąc się histerycznie:

— Gratulacje, Katarzynko! Niech będzie jak chciałeś! Mogę umrzeć, nie ma problemu!

Dziewczynka powoli odzyskiwała ostrość widzenia, lecz tępy ból rozsadzał jej czaszkę. Cudem nic nie złamała ani nie stłukła podczas upadku. Ziewnęła przeciągle, ponieważ jej organizm pilnie potrzebował tlenu.

— Ale nie za darmo. Czekał cierpliwie! — zachichotała matka, po czym trzasnęła oknem. Katarzyna nie wiedziała, co zrobiła później, ale nie miało to większego znaczenia.

Leżała pod ścianą długie godziny w kompletnej ciemności. Na szczęście było lato, więc przynajmniej nie zamarzła na kość. Po tym, jak udało się jej wstać, pobiegła do pobliskiego lasu i spędziła w nim w ukryciu siedem lat. Przez cały ten czas nigdy nie wróciła, by chociażby upewnić się, że ktoś znalazł ciała jej bliskich. I zapewne żyłaby tak dłużej, gdyby nie Afron.

Nie zrobiła nic złego. Nie była nic matce winna.

— Odejdź.

Anna zachichotała, prawie tak okropnie, jak swego ostatniego dnia.

— Oj, błagam. Co ci szkodzi, skoro i tak ubierasz się jak kobieta oraz nieudolnie próbujesz takową udawać? Może wreszcie się zaspokoisz.

To niedorzeczne. Niemoralne. Niemożliwe. Nietaktowne. Nieludzkie. Ale czy Katarzyna mogła odmówić? Czy gdyby matka narodziła się ponownie, to czy byłaby lepszą osobą? Czy mogłaby naprawić zło, które wyrządziła swoim bliskim, zamknąć bramy piekła? Czy córka była w stanie okazać miłosierdzie?

— Może wreszcie doznasz tego, co czułam ja, kiedy cię rodziłam.

Ach, tak. Przecież Katarzyna była tylko pomyłką. Ciężką konsekwencją upojnej nocy, za którą matce przyszło zapłacić wszystkim, co kiedykolwiek zdobyła. Po odkryciu ciąży została ona w tajemnicy zaślubiona Enrique, a następnie wymazano wszelkie jej prawne powiązania z własną rodziną, aby tylko nie przyniosła wstydu. Państwo Pendereccy oddali im jeden ze swoich domów z przykazaniem, żeby ani on, ani ona, ani cokolwiek z niej wyjdzie nie próbowało się z nimi skontaktować. Jednak Anna miała nadzieję. Nadzieję, że

jeżeli jej dzieci będą wyglądały ślicznie jak prawdziwe polskie pociechy, to niewątpliwie wróci do łask, do obiecującej przyszłości i do zasad, które od zawsze spajały jej życie, czyniąc je kompletnym. Na świat przychodziły coraz to kolejne bachory, lecz każde było przeraźliwie podobne do tchórzliwego ojczulka, który, nie mogąc znieść żony oraz jej szaleństwa, po narodzinach drugiej córki zakończył swą wątpliwej wartości egzystencję. Kobieta została z brakiem możliwości kolejnej próby wydania cudnego brzdąca, którego włosy nie byłyby hebanowe, a oczy ciemne jak jej własna dusza. I być może, ale tylko być może, w końcu któreś z dzieci by ją zadowoliło, lecz ten parszywy pierworodny syn-córka musiał wszystko zepsuć. Ach, przecież to coś, czego nawet nie można nazwać człowiekiem, jest grzechem z samej definicji! Klątwa, potwarz, pogarda wymierzona prosto w jej dobre imię!

Katarzyna doszła do wniosku, iż Anna też cierpiała. Była po prostu chora, oszalała z żalu. Może... zasługiwała na kolejną szansę. Bez twardych zasad. Bez wpływu rodziny. Bogatsza o niewesołe doświadczenia z przeszłości. Mogła przecież wykreować swój los od początku. Na nowo. Świece z całej kaplicy uniosły się, po czym utworzyły krąg wokół obu postaci. Starsza kobieta wyciągnęła rękę.

— „Bo słuchajcie i zważcie u siebie

Aby żywot wasz nie padał

Kto zmysły swe postradał

Ten nigdy nie może być w niebie.”

Ale Katarzyna nie chciała jej pomagać, i to jeszcze w świecie niedobrego boga. Pragnęła po prostu poczuć się człowiekiem; samolubnym, emocjonalnym, nieskorym do wybaczenia człowiekiem.

— Idź do diabła.

W ciągu kilku sekund nagromadziła w ustach ślinę, po czym siarczyście splunęła w palące się na posadzce włosy. Płomień zgasł, a duch zaczął się w ciszy i spokoju dematerializować. Katarzynę to zaskoczyło. Jakim cudem matka tak szybko zaakceptowała swój los? Dlaczego nie miała ochoty skoczyć córce do gardła i zmusić ją, by ponownie wydała ją na świat? Wosk skapywał na bosc stopy kobiety, lecz było to najmniej bolesną rzeczą, jaka przydarzyła się jej tamtej nocy. Na zewnątrz zerwał się silny wiatr, który wpadł do kaplicy i zgasił wszystkie świece, pozostawiając ją w całkowitej ciemności. Głuche kołatanie serca kobiety można było usłyszeć we wszystkich kątach pomieszczenia. Zrobiła niewielki krok w przód, by uwolnić się od zaschniętej ciecicy.

— Nie mam więcej miłosierdzia, a to ludzkie — rzekła, nie do końca wiedząc właściwie do kogo. Do matki? Do Boga? Do samej siebie? Czy cokolwiek miało wtedy znaczenie?

Tuż obok ucha Katarzyna poczuła dotyk i lekki podmuch powietrza.

— Więc ja będę je miała. Powiedziałabym, że kiedyś się jeszcze zobaczymy, lecz istnieje wyraźna różnica pomiędzy śmiercią, a zaprzestaniem bytowania.

— Co?

Kobiecie odpowiedział jedynie błysk na niebie, zaraz po którym pojawił się grzmot. Wszystkie świece zostały na powrót zapalone i opadły na podłogę, przez co Katarzyna zaniepokoiła się możliwością wybuchu pożaru. Wzięła ze stołu dzbanek z wodą i zaczęła gasić ogień, kiedy nagle usłyszała głośnie klaskanie po drugiej stronie kaplicy. Złotowłosy chłopiec wstał z jednej z ławek, po czym w jego dłoni zmaterializowała się lampa naftowa. Niespiesznym krokiem podszedł do kobiety, nucąc jakąś melodię.

— Gdybyś się zgodziła, pozbyłbym się ciebie. Już ty sama jesteś wystarczającym problemem, a bachor to tylko więcej roboty.

W pomieszczeniu rozległ się przeraźliwy dźwięk, kiedy dzbanek wylądował na posadzce, tłukąc się i wbijając odłamki szkła w stopy Katarzyny. Krew wypełniła niewielkie pęknięcia w drewnie, a z ust kobiety wydobyło się westchnięcie przepelnione ulgą. Cudownie. Jej serce stało się lekkie, wiedząc, że litość zgubiłaby ją niechybnie.

— Kończymy. Sprzątnij to wszystko.

Wdzięczna Katarzyna skinęła głową, po czym mimo bólu wzięła jeden z odłamków i zaczęła wyskrobywać nim wosk z podłogi. Czas wrócić do normalności. Do strachu o własne życie, do braku możliwości chociażby wzięcia głębszego oddechu, aby przypadkiem Go nie rozwścieczyć, do ciągłej, monotonnej pracy. Ach, jak zdążyła za tym zatęsknić przez te kilka godzin bycia człowiekiem!

Aby pozbyć się wody, przycisnęła swoją zawiniętą, trójpalczastą dłoń do cieczy, aby miękki materiał mógł ją wchłonąć. Nie dawało to większego rezultatu, więc Katarzyna postanowiła odwinąć chustę, modląc się, że rana przestała krwawić. Na jej nieszczęście tak się nie stało, a kilka kropel krwi spadło wprost do rozlanej wody. Gdy tylko obie ciecze połączyły się, cała mieszanina zajęła się ogniem. Kobieta mimowolnie odskoczyła od płomienia, wbijając sobie szkło jeszcze głębiej. Niespodziewane zjawisko przykuło nawet uwagę Afrona, który zdążył przybrać z powrotem swą zapijaczoną, zarośniętą twarz. Katarzyna wstrzymała oddech, gdy tuż nad ogniem pojawiła się dziwna postać. Był to otyły mężczyzna w wieku około czterdziestu lat, z rozwianymi włosami i twarzą przepelnioną bólem. Jego mundur policyjny pokryty był białymi plamami, jak gdyby światło przebijało przez niego na wylot. Z wnętrza jego prawej dłoni ciekła woda, a w lewej trzymał linę, na której końcu był zawieszony kamień. Katarzyna zapewne pomyślałaby, że to po prostu kolejna zjawą, lecz w tej było coś innego. Duchy miały w sobie pewną harmonię, a ta istota wydawała się osobliwie nieestetyczna, niczym ludzik wydarty z kartki papieru przez przedszkolaka.

Widmo ujęło w dłonie twarz Katarzyny, ruszając bezwiednie ustami, lecz nie wydało żadnego dźwięku. O dziwo, ona sama nie poczuła żadnego chłodu ani niepokoju, jednakże po jej sercu rozlało się ciepłe, choć cierpkie uczucie. Litość. Chęć ocalenia. Miłosierdzie. Nie wiedziała dlaczego, ani co miałyby zrobić, aby pomóc zjawie, więc tylko pokręciła głową ze zrezygnowaniem. Jej człowieczeństwo zabroniło jej kolejnego poświęcenia.

Duch usiłował spoliczkować Katarzynę, lecz jego ręka zdematerializowała się na jej twarzy. Cały proces nie zatrzymał się, dopóki ostatnia część ciała policjanta nie rozpułyła się w powietrzu. Ogień zgasł, a cała woda zmieniła się w parę. Chociaż kobieta była pewna, że po raz kolejny dokonała dobrego wyboru, czuła gorzki smak żalości na języku. Przynajmniej dopóki jej twarz nie wylądowała w odłamkach.

— Mogłabyś się pospieszyć? — zapytał Afron, przyciskając tył jej głowy butem do podłogi. Kobieta pokiwała, gasząc chwilowe emocjonalne uniesienie. Mężczyzna kopnął mocniej, po czym puścił ją i udał się w kierunku wyjścia z kaplicy. Trzasnął drzwiami, a głuchy huk wypełnił powietrze w pomieszczeniu.

I wtedy Katarzyna wydała najgłośniejszy pisk, jaki była w stanie z siebie wydobyć.